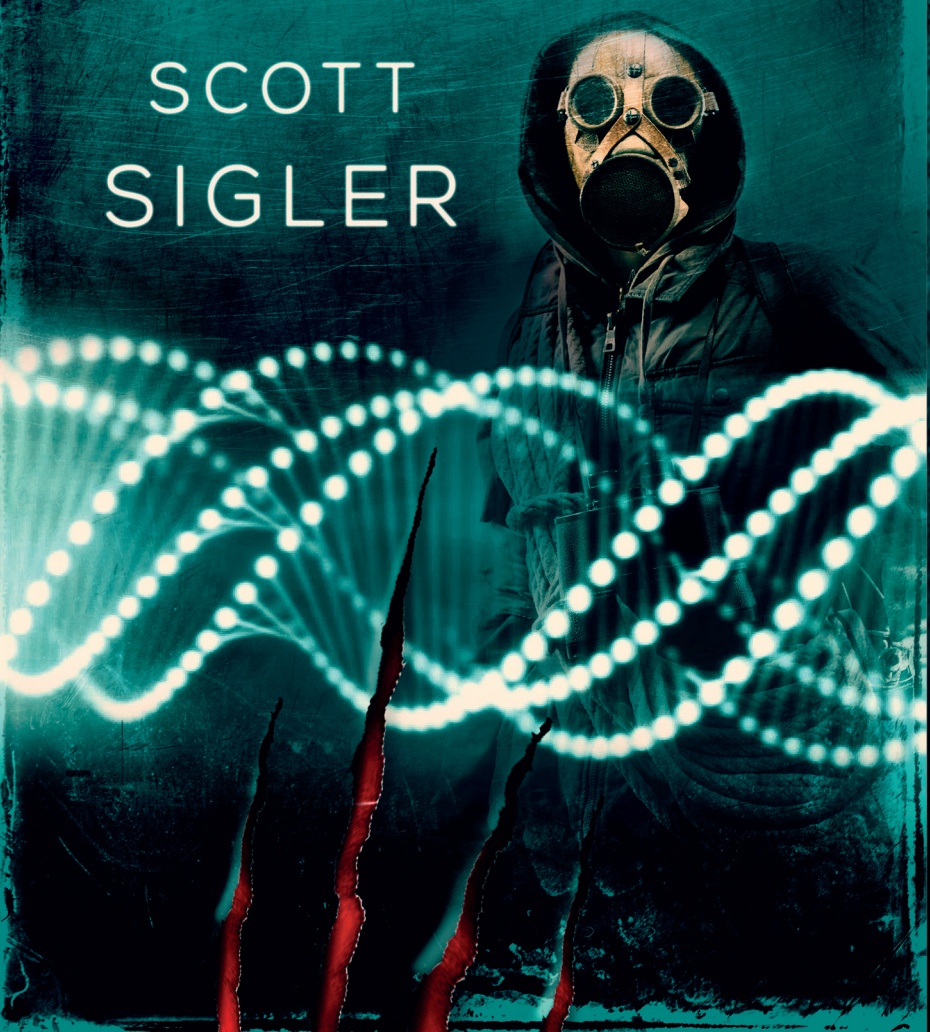


Błyskotliwe połączenie thrillera i science-fiction

TRANSPLANTACJA

SCOTT
SIGLER



7 LISTOPADA: GRENLANDIA

Paul Fischer zawsze wyobrażał sobie koniec świata jako coś bardziej... spektakularnego. Ryk silników, zbiorowe kraksy, krzyki ludzi, lufy ziejące ogniem. Może niszczący wszystko wybuch bomby o globalnym zasięgu. Tymczasem tutaj, na Grenlandii? Pustka, zbity śnieg, niekończące się skały i białe lodowce piętrzące się na horyzoncie. Ani śladu płonących miast, porzuconych samochodów — nic z tych rzeczy. Jedynie małeńki wirus i kilka świń.

Wyskoczył z helikoptera Black Hawk UH-60 prosto na ośnieżone pole roziskrzane blaskiem świtu. Czekala na niego kobieta w mundurze sił powietrznych; podszyty futrem kaptur szczelnie osłaniał jej twarz przed mrozem i zacinającym wiatrem.

Zasalutowała krótko.

— Pułkownik Fischer?

Skinął głową i niedbale oddał salut.

— Podporucznik Laura Burns. Generał Curry czeka na pana. Proszę za mną.

Odwrociła się i ruszyła w kierunku trzech półokrągłych baraków Quonset z blachy falistej, których biel zlewała się z krajobrazem. Połączone dwoma tunelami, tworzyły jakby ludzkie kretowisko, które wyrzuciło się zaledwie dobieg temu. Dobiegł go szum dieslowskiego generatora, na dachu dojrzał krzywizny dwóch talerzy satelitarnych.

Podążył za dziewczyną; ich cienie stopiły się w długi szary

kszałt sunący po skorupie śniegu. Marzył, żeby jak najszybciej znaleźć się w baraku i żeby to był barak ogrzewany — przy niskich temperaturach to przeklęte lewe kolano mocno dawało mu się we znaki. Odruchowo zastanawiał się, czy młoda pani porucznik jest stanu wolnego i czy wpadłaby w oko jego synowi. Zaczynał się martwić, że chłopak nigdy się nie ustatkuje i nie da mu wnuków, które mógłby rozpuszczać jak dziadowski bicz.

Nad głową przeleciały dwa F-16, ryk silników poniósł się echem po dolinie. Zapewne eskadra wysłana z Rejkiawiku, żeby zabezpieczyć teren i zamknąć przestrzeń powietrzną na skutek alarmu o zagrożeniu biologicznym w Novozyme.

Wbił wzrok w rozległą dolinę. Wiedział, że trzy kilometry dalej znajduje się kompleks Novozyme: budynek z laboratoriami i mieszkaniami dla pracowników oraz pas startowy, maszty oświetleniowe, metalowa wieżyczka strażnicza, dwa nieskazitelnie czyste blaszane chlewiki dla świń — wszystko ogrodzone wysoką siatką pod napięciem.

Dziewczyna — podporucznik Burns, skarcił się Paul w myślach — zaprowadziła go do środkowego baraku. Bez śluzy. Nie było czasu na zainstalowanie pełnych zabezpieczeń w tymczasowym ośrodku, więc faceci z bazy lotniczej w Thule dostarczyli przenośny system łączności i dowodzenia typu Harvest Falcon. Nie miało to większego znaczenia. Wywiad był niemal pewny, że wirusy nie wydostały się z centrum Novozyme.

Kluczowe było tu słowo „niemal”.

Paul otworzył drzwi i wszedł do ogrzanego wnętrza. Generał Evan Curry podniósł wzrok i wezwał go gestem do ściany monitorów po przeciwległej stronie. W zatłoczonym pomieszczeniu siedziało przy konsolach kilku amerykańskich żołnierzy, nad nimi stało paru duńskich oficerów, wpatrując się w ekrany. Generał miał na twarzy permanentny grymas i głowę wygoloną do szpakowatej szczecinki, jak w typowym hollywoodzkim filmie, ale odstawał od scenariusza niską posturą i smolistą czernią skóry. Jednak tak naprawdę liczył się tylko blask, jaki bił z jego czterech gwiazdek.

— Witaj, Paul. — Curry wyciągnął rękę i wymienili mocny uścisk dłoni. — Chętnie powiedziałbym, że miło mi pana znów

widzieć, gdyby nie okoliczności, podobnie smutne, co poprzednim razem. Kiedy to było? Trzy lata temu?

— Trzy lata co do dnia — odparł Paul.

— Naprawdę? Ma pan dobrą pamięć.

— Niektóre rzeczy trudno zapomnieć, panie generale.

Curry ponuro kiwnął głową. Ludzie tracili życie także pod jego dowództwem. Znał ten ból.

— Panowie — zwrócił się do duńskich oficerów — to pułkownik Paul Fischer z Wojskowego Instytutu Medycznego Chorób Zakaźnych w USA, czyli United States Army Medical Research Institute for Infectious Diseases, w skrócie USAMRIID. Jest z jednostki do zwalczania zagrożeń specjalnych i teraz do niego należą dalsze decyzje. Jakies pytania?

Sposób, w jaki Curry wypowiedział słowa „zagrożeń specjalnych” i „jakies pytania”, dawał jasno do zrozumienia, że nie życzy sobie żadnych pytań. Duńczycy posłusznie kiwnęli głowami.

Generał ponownie zwrócił się do Paula:

— Dzwonił do mnie Murray Longworth. Powiedział, że pan tu rządzi. Mam dopilnować, aby wykonano pańskie rozkazy, jakiegokolwiek by były.

— Dziękuję, panie generale — skwitował grzecznie Paul, chociaż wcale mu to nie ulżyło. Gdyby tylko ktoś inny mógł wziąć na siebie ciężar decyzji, chętnie ustąpiłby mu pola. — Co się dzieje?

Curry bez słowa wskazał na główny monitor.

Paul podświadomie się spodziewał, że obraz będzie niewyraźny. We wszystkich apokaliptycznych filmach krwawym scenom zwykle towarzyszyły liczne awarie światła, oślepiające błyski, trzaskanie zamykanych i otwieranych zniechcanych drzwi. Z jakiegoś powodu każdy sądny dzień przebiegał pod znakiem szwankujących instalacji elektrycznych.

Ale to nie było Hollywood. Oświetlenie działało bez zarzutu, a obraz był idealnie wyraźny.

Ekran pokazywał widok z umieszczonej pod sufitem kamery monitoringu. Samotny mężczyzna wolno czołgał się po podłodze laboratorium. Raz za razem kasłał — głębokim, mokrym kaszlem,

takim, który zaciska przeponę w śmiertelnie długim uścisku, jakby to miał już być ostatni oddech. Każde rozdzierające odkaszlnięcie owocowało żółtoróżową, spienioną plwociną, która lądowała obok innych, pokrywających mu podbródek i biały fartuch laboratoryjny.

Przy każdym mozolnym przesunięciu jednego ramienia przed drugie mężczyzna wydawał cichy odgłos „eeehem”. Na dole monitora widniał napis: DR PONS MATAL.

— Och, to Pons — powiedział Paul. — Niech to szlag!

— Zna go pan?

— Niezbyt dobrze. Czytałem jego prace naukowe, brałem z nim udział w panelach dyskusyjnych na kilku konferencjach wirusologicznych. Raz poszliśmy na piwo. Zdolny gość.

— Żle to wygląda — zauważył Curry, mimowolnie zgrzytając zębami w zaciśniętych szczękach, kiedy obserwował mężczyznę.

— Co się z nim dzieje?

Paul aż za dobrze znał odpowiedź. Widział umierających w ten sposób ludzi dokładnie trzy lata temu.

— Płuca doktora Matala zalewa śluz i ropa, zatykając je. Nie może oddychać. Topi się we własnych wydzielinach.

— I przez to umrze? Utopi się?

— Całkiem możliwe. Silna erozja tkanki może uszkodzić tętnicę płucną. Biedak się wykrwawi.

— Skąd będziemy wiedzieć, że umiera?

— Niech mi pan wierzy, będzie pan wiedział — rzekł Paul.

— Ilu ocalało?

— Nikt. Doktor Matal jest ostatni. Oprócz niego w centrum Novozyme było dwudziestu siedmiu pracowników. Zlokalizowaliśmy wszystkie ciała.

Curry skinał na jednego z żołnierzy obsługujących niewielkie pulpity. Główny monitor nadal pokazywał bezsilne zmagania doktora Matala, sąsiednie mniejsze ekrany rozbłysły szeregiem nieruchomych obrazów. Dopiero po chwili Paul zdał sobie sprawę, że to nie pokaz fotografii, tylko wideotransmisja na żywo — tyle że nikt się nie ruszał.

Na każdym z ekranów widać było ciała leżące twarzą do ziemi. Niektóre miały koszule splamione różowożółtą flegmą jak doktor

Matal. Inne miały na ustach i ubraniu krew. W paru przypadkach przyczyna śmierci była bardziej oczywista — ślad po kuli. Ktoś, zapewne Matal, uznał, że ten zabójczy szczep grypy niesie zbyt wielkie niebezpieczeństwo. Że nie wolno dopuścić, aby ktokolwiek wyszedł z ośrodka, bez względu na to, czy ma już symptomy choroby, czy nie.

Paulowi ścisnęło się serce — zwłaszcza na widok kobiet. Różowa piana pokrywała im usta, martwe oczy patrzyły w przestrzeń. Przypomniały mu się wydarzenia sprzed trzech lat. Podobnie jak Pons musiał zatelefonować... i Clarissa Colding zmarła.

Głęboko odetchnął i siłą woli odsunął te myśli. Miał zadanie do wykonania.

— Generale, kiedy zgłoszono pierwszy przypadek zakażenia?

— Niespełna trzydzieści sześć godzin temu — odparł Curry i spojrzał na zegarek. — Matal zameldował, że zastrzelił siedem osób. Dwadzieścia zmarło z powodu infekcji. Cokolwiek to jest, szybko się rozprzestrzenia.

Mało powiedziane. Paul jeszcze nigdy nie zetknął się z wirusem, który zarażał tak błyskawicznie — i tak błyskawicznie zabijał. Nikt się z czymś takim nie zetknął.

— Odczyty kontrolne poziomu zanieczyszczenia w budynku są w normie — ciągnął Curry. — Ma on tylko dwa wejścia, oba przez śluzy podciśnieniowe, które są w pełni sprawne. System oczyszczania powietrza jest włączony i działa.

Paul kiwnął głową. Podciśnienie było sprawą kluczową. W razie jakichś nieszczelności w ścianach, drzwiach lub oknach czyste powietrze będzie wpadać do środka, a skażone nie wydostanie się na zewnątrz.

— Jest pan pewien, że doliczono się wszystkich pracowników?

Curry potwierdził.

— W Novozymie obowiązywały ścisłe dyżury. Administracja pomogła nam zlokalizować wszystkich, którzy byli poza ośrodkiem, gdy go zamykano. Poddano ich kwarantannie i dotąd u nikogo nie wystąpiły żadne niepokojące symptomy. Sytuacja została opanowana.

Na ekranie Matal już ledwo się poruszał. Jego oddech stał się

urywany, towarzyszył mu charczący odgłos. Paul przełknął ślinę.

— Czy doktor Matal przekazał nam jakieś bliższe szczegóły na temat choroby?

Curry podał mu podkładkę z plikiem kartek pod klipsem.

— Powiedział, że to nowa odmiana grypy A. Coś od świń. Zeno zoo nose, czy coś w tym rodzaju.

— Xenozoonosis — powiedział Paul, wymawiając wolno to słowo jako *zii-no-zuu-no-sis*.

— O to, to — potwierdził generał. — Matal mówił, że to gorsze od hiszpańskiej grypy w tysiąc dziewięćset osiemnastym.

Paul szybko przerzucił notatki. Matal nie miał czasu prawidłowo wytypować wirusów, ale założył, że to wariant H5N1 albo mutacja H3N1. Przebiegł wzrokiem zapiski, bojąc się tego, co zobaczy, i marszcząc brwi, kiedy to ujrzał: zespół Matala brał oseltamivir i zanamivir, dwa środki przeciwwirusowe na osłabienie świńskiej grypy. Żaden nie pomógł.

— Nie jestem naukowcem, Fischer — odezwał się generał Curry — ale wiem tyle, że żaden wirus nie zabija wszystkich. Zdumiewa mnie, że cywil, jakim jest doktor Matal, mógł zastrzelić swoich ludzi.

— Widział, jak szybko to się rozprzestrzenia, nie potrafił temu zapobiec. Uznał, że lepiej poświęcić swoje życie i życie swojego zespołu, niż narazić na śmierć miliony.

— Och, daj pan spokój — prychnął Curry. — Nie będę przecież zlizywać mu z brody tego różowego świństwa ani nic takiego, więc gdzie to wielkie niebezpieczeństwo?

— W tysiąc dziewięćset osiemnastym epidemia zabiła pięćdziesiąt milionów ludzi. Wszystkich ludzi na Ziemi było wtedy tylko dwa miliardy. Teraz jest nas prawie siedem miliardów. Przy tym samym współczynniku śmiertelności daje nam to przeszło sto siedemdziesiąt milionów zmarłych. A wtedy nie było komunikacji lotniczej, panie generale. Nie było nawet autostrad. Teraz można dolecieć w każdy zakątek świata w niecałą dobę, i ludzie to robią, cały czas.

— Przecież dopiero co mieliśmy świńską gripę — dowodził Curry. — Tę całą H1N1. I zabiła... ile, parę tysięcy ludzi? A zwykła, stara, standardowa grypa zabija co roku ćwierć miliona

ludzi. Więc proszę mi wybaczyć mój sceptycyzm laika, ale jakoś nie kupuję tej gadki o pandemii wywołanej H1N1.

Paul pokiwał głową.

— H1N1 nie zabiłaby nikogo w centrum Nowozymie. Mieli wyposażenie medyczne, lekarzy, leki przeciwwirusowe... wiedzieli, co mają robić. A pandemia to określenie epidemii obejmującej swoim zasięgiem wielkie obszary. Pierwszy przypadek H1N1 odkryto w Meksyku. Sześć tygodni później tę chorobę potwierdzono już w dwudziestu trzech krajach. Jej zasięg był globalny. Gdyby to był wirus Matala, mielibyśmy siedemdziesięciopięcioprocentową śmiertelność w skali całego cholernego świata. Ma pan pojęcie, ilu ludzi by to zabiło?

— Pięć miliardów — powiedział Curry. — Umieć liczyć. Da pan wiarę, że trzeba zdać egzamin z matematyki, by zostać generałem?

— Przepraszam — mruknął Paul.

Generał patrzył w ekran. Poruszył parę razy szczęką, jakby żuł wymaginowaną gumę, w końcu się odezwał.

— Fischer, maluje pan sakramencko niewesoły obraz.

— Tak, panie generale. Niewesoły.

Jeszcze dwa ruchy żuchwą i chwila ciszy.

— Wiem, co ja bym zrobił na pana miejscu. Poszedłbym na całość. I przyjechał.

— A jeśli zechcę iść na całość, panie generale — powiedział Fischer, pomijając kwiecisty zwrot o „przyjeździe” — to jakie mamy możliwości?

— Mamy gwarancję pełnej współpracy ze strony rządu duńskiego i premiera Grenlandii. Chcą zamknąć tę sprawę raz na zawsze, więc zaakceptują każde rozwiązanie, jakie im podsunie. W Thule czeka w gotowości Bone z ośmioma BLU-96.

Paul kiwnął głową. Bone, czyli bombowiec B1. BLU-96 to jednotonowe bomby paliwowo-powietrzne. Na ustalonej wysokości rozpylają one paliwo, które wraz z powietrzem tworzy chmurę silnie wybuchowej mieszanki. Po odpaleniu temperatura osiąga ponad tysiąc stopni, spopielać wszystko w promieniu półtora kilometra — łącznie z wirusami i całą resztą.

— Generale, czy mamy jakieś inne wyjście?

— Jasne — odparł Curry. — Nawet dwa. Możemy rozstawić ludzi w kombinezonach ochronnych, żeby przebadali teren, i podjąć ryzyko, że przez czyjąś drobną nieuwagę wirus wydostanie się na zewnątrz, albo możemy nie ryzykować i zrobić małą Hiroszimę.

Paul wbił wzrok w generała.

— Atomówka? Macie tu bombę atomową?

— Niecałą megatonę. Ale możemy rozpieprzyć wszystko w promieniu pięciu kilometrów. Mamy w pobliżu helikoptery ewakuacyjne. Wywieziemy naszych ludzi na bezpieczną odległość, zostawimy tu wszystko, jak jest, a potem zapalimy choinkę.

Curry mówił serio. Cholerna broń atomowa. Fischer spojrzał na monitor pokazujący widok na zewnątrz budynku. Kilka świń kręciło się przy jednym z chlewików. Matal i Novozyme mieli nadzieję wyhodować z tych świń stado dawców organów dla ludzi. Przedmiotem ich badań była ksenotransplantacja, czyli technika przeszczepiania narządów między osobnikami należącymi do różnych gatunków. Setki firm biotechnologicznych na całym świecie prowadziło podobne eksperymenty, a każdy niósł ze sobą pewne niewielkie niebezpieczeństwo. Niewielkie, ale realne, jak boleśnie dowiodła ta sytuacja.

Jak na ironię świnię wcale nie sprawiały wrażenia chorych. Najspokojniej w świecie jadły, grzebały w podmarzniętym gruncie, spały. Paul poczuł dziwny smutek, że te zwierzęta muszą zginać.

— Jak szybko B1 może zrzucić bomby paliwowe?

— Dwie minuty od mojego rozkazu — powiedział Curry. — Bone czeka w gotowości.

Paul skinął głową.

— Niech pan wyda rozkaz. — Miał nadzieję, że bomby zdążą skrócić cierpienia Matala, zanim płuca mu pękną.

Curry wziął telefon i rzucił krótko:

— Wykonać zadanie!

Na monitorze Matal zwinął się wpół w nowym napadzie kaszlu. Wstrząsnęły nim drgawki i przewrócił się na plecy. Podniósł ręce z palcami zakrzywionymi jak szpony. Z trudem złapał jeszcze jeden urywany oddech i wstrząsnął nim kolejny

atak. Z gardła buchnęła mu krew jak strumień wody z węża strażackiego, z taką siłą, że rozprysła się na świetlówkach na suficie. Jego ciało zwiotczało, czerwone krople spływały mu z ust i spadały na niego z góry.

— Niech mnie wszyscy diabli! — mruknął Curry. — Co za kurewstwo!

Paul dość się już napatrzył.

— Potrzebuję bezpiecznej linii.

Generał wskazał mu inny telefon, wbudowany w panel kontrolny z oprzyrządowaniem.

— To bezpośrednie połączenie z Langley. Longworth czeka na pański meldunek.

Murray Longworth. Wicedyrektor CIA i najwyższy zwierzchnik kierowanej przez Paula jednostki do zwalczania zagrożeń specjalnych zwanej USAMRIID. Nadzorował anonimowy zespół specjalistów z CIA, FBI, USAMRIID, Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego i innych departamentów, który powołano do zwalczania wszelkiego rodzaju zagrożeń biologicznych. Działał zgodnie z prawem? W najlepszym razie na granicy prawa. Jawnie? W całkowitej tajemnicy. Pod nadzorem legalnych władz? Nikt nigdy tego nie kwestionował, zwłaszcza że Murray Longworth mówił głosem samego prezydenta.

Paul wziął telefon. Jego szef odpowiedział po pierwszym sygnale.

— Tu Longworth. Jak sytuacja, pułkowniku?

— Kazałem generałowi Curry'emu zrzucić bomby paliwowe. Nastąpiła chwila ciszy.

— Trudno mi w to uwierzyć — odezwał się w końcu Longworth. — Przez jakieś głupie świny? Jak może świński wirus zarażać ludzi?

Paul westchnął. Wicedyrektor CIA nadzorował całe przedsięwzięcie, ale niewiele z tego rozumiał. Pewno nigdy nie zrozumie. Z jednego z głównych monitorów zniknęły nieruchomo leżące zwłoki i pojawił się trzęsący, niewyraźny obraz Novozyne z lotu ptaka. Z kamery bombowca.

— Genom świni został zmodyfikowany, żeby wyposażać go w ludzkie białko — powiedział Paul. — To konieczne, jeśli chce

się przystosować świńskie organy do transplantacji dla ludzi. Nowy wariant świńskiej grypy inkorporował te białka i nastąpiło zarażenie międzygatunkowe.

— Niech pan to powie tak, żebym zrozumiał.

— Błyskawicznie rozprzestrzeniający się wirus, także w powietrzu, lekarstwo nieznane, trzy na cztery osoby umierają w męczarniach. Zagrożenie globalne w ciągu ośmiu tygodni. W skali od jednego do dziesięciu jest to ósemka, a dziesiątka oznacza całkowitą zagładę ludzkości. Musimy spalić tu wszystko do gołej ziemi, panie dyrektorze.

Paul usłyszał ciężkie westchnienie.

— No to niech się pan szybko uwinie i zabiera tyłek z powrotem do Waszyngtonu — zarządził Longworth. — Prezydent Gutierrez zwołuje czarne spotkanie. Wszystkie kraje europejskie, Indie, Chiny, wszyscy zainteresowani. Zamykamy cały interes do czasu, aż WHO przejmie nad nim pełną kontrolę. Chcę, żeby pan był na tym spotkaniu.

— Rozumiem — odparł krótko Paul.

Czarne spotkanie. Biblijna apokalipsa wisiała na włosku i mogła nastąpić z tak błahego powodu jak nieszczelna śluza, więc światowi przywódcy mieli się zebrać w tajemnicy na naradę. Nikt nigdy nie dowie się prawdy.

Nawet rodzina Matala.

Na monitorze z kamery bombowca Fischer rozpoznał pole, przez które niedawno przechodził, a potem białe skupisko półokrągłych metalowych baraków. Ułamek sekundy później usłyszał ryk silnika odrzutowca. Teraz już tylko parę sekund.

— Po spotkaniu w Waszyngtonie zajmie się pan Genadą — ciągnął Murray. — Zamykamy wszystko na cztery spusty, ale przede wszystkim ośrodek Genady na Ziemi Baffina.

Monitor pokazywał teraz widok z kamery, która musiała być zamontowana wraz z radarem na dachu baraku. Przez ułamek sekundy na ekranie pokazało się centrum Novozyrne, a potem wypełnił go jaskrawopomarańczowy błysk. Ziemia się zatrzęsła. W rozświetlone brzaskiem niebo uniósł się obłoczek w kształcie grzyba.

— Z całym szacunkiem, panie dyrektorze — zaprotestował

Paul — wydaje mi się, że najpierw powinienem zająć się Monsanto w Afryce Południowej albo Genzyme w Brazylii.

— Najpierw Genada — oświadczył stanowczo Longworth. — Wiemy już, że ci pieprzeni bracia Paglione przeprowadzali nielegalne eksperymenty. Stanowią realne zagrożenie. Czy poszukiwania tej Rosjanki przyniosły jakieś rezultaty?

Rosjanka. Galina Poryżkowa, naukowiec pracujący dla Genady. Zagroziła, że ujawni całą prawdę o ich badaniach. Skontaktowała się z Fischerem i twierdziła, że robią eksperymenty na ludziach, a ona ma na to dowody. Jednak bracia Paglione zdążyli ją przekupić i zniknęła.

— Wytropiliśmy tylko kilka operacji finansowych — przyznał z rezygnacją Paul. — Inwestycje i tym podobne. NSA uważa, że ona jest w Moskwie, ale Rosjanie nie są zbyt chętni do współpracy.

— Zachęćmy ich. Przekażę sprawę do Departamentu Stanu. P.J. Colding zatarł przed nami ślady po tamtych eksperymentach i zadbał, żeby świadek zapadł się pod ziemię. Zaczniemy więc od Genady, zanim znów wykręci nam taki numer.

Paul przełknął ślinę i zamknął oczy. Wiedział, że prędzej czy później padnie to nazwisko.

— Rozumiem, panie dyrektorze — powiedział. — Ale przypominam, że mam swoją wtyczkę na Ziemi Baffina. Mogę jej przesłać wiadomość. Jeśli zajdzie coś podejrzanego, moja wtyczka może uszkodzić środki transportu, izolując Coldinga i cały projekt od świata.

— Szlag mnie trafia, że nie chce pan zdradzić, kim jest ta osoba.

— Dopóki pańscy ludzie nie dojdą, skąd Magnus i Danté Paglione dostają tajne informacje z CIA, najlepiej będzie, żebym zatrzymał to dla siebie.

— Powiedziałem, że szlag mnie trafia, ale nie mówiłem, że to zła strategia. Ale, ale, pułkowniku, czy pański człowiek może przekazać wiadomość panu?

Paul zacisnął zęby. Przeczuwał, do czego szef zmierza.

— Nie, panie dyrektorze.

— To znaczy, że nie będzie pan wiedział, kiedy bracia Paglione dostaną cynk o bombie, którą właśnie pan zrzucił. Domyślą się, co się święci, a wtedy Colding przeniesie laboratorium Genady

gdzieś indziej. Nie mam ochoty meldować prezydentowi, że jakiś szemrany projekt z dziedziny ksenotransplantacji wymknął się nam spod kontroli, zwłaszcza po tym, co się właśnie stało. Kiedy pan będzie na spotkaniu w Waszyngtonie, ja zwołam ludzi z plutonu CBRN. Poleci pan z nimi.

Pluton CBRN składał się z ekspertów od zagrożeń specjalnych: chemicznych, biologicznych, radiologicznych i nuklearnych. Paul niewiele wiedział o tych ludziach, nie miał certyfikatu dostępu do informacji niejawnych, ale z pewnością nie będą to szeregowi żołnierze w kombinezonach ochronnych, lecz siły specjalne. Zawodowi zabójcy.

— Załatwię panu lot z Thule — powiedział Longworth. — A na razie niech ten pana człowiek unieszkodliwi wszystkie środki transportu, żeby Colding i personel Genady nie dali nam dyla.

Fatalnie. Przy takim obrocie sprawy wtyczka Paula zostanie zdana na własne siły do czasu wylądowania plutonu CBRN. Ze względu na uzbrojonych po zęby ochroniarzy Genady mogło się to źle skończyć.

— Uważam, że powinniśmy poczekać, panie dyrektorze. W ośrodku jest pięćdziesiąt sztuk zwierząt... nie tak łatwo będzie się ewakuować w ciągu dziesięciu godzin.

— Pułkownik Fischer, klamka zapadła. Jak tylko dostanę zgodę od Kanadyjczyków, każe pan swojemu współnikowi zniszczyć cały transport, przejąć wyniki badań i zabić pawiany.

— Krowy, panie dyrektorze — poprawił Paul. — To Monsanto używa pawianów. Genada eksperymentuje na krowach.

— No to niech zabije wszystkie krowy. I koniec dyskusji.

Paul z frustracją potarł ręką twarz. Jego była żona Claire mawiała, że przypomina wtedy małego chłopca, któremu chce się spać. Nigdy nie pozbył się tego odruchu i teraz za każdym razem dźwięczała mu w uszach jej kpina.

— Pułkownik Fischer — przywołał go do porządku Longworth. — Wykona pan moje instrukcje czy nie?

— Tak jest, panie dyrektorze. Wyślę rozkaz, jak tylko da mi pan zielone światło.

7 LISTOPADA: ZOBACZ MNIE WE ŚNIE

Ręce, przestańcie.

Jej palce odgarnęły długie czarne włosy z oczu. Włosy spłynęły falą z powrotem i znów je odsunęła. Jej małe ręce ruszały się jakby siłą własnej woli, chwytając co popadnie, robiąc ściegi, zszywając.

Przestańcie, ręce, chciała powiedzieć, ale nie mogła mówić. Mogła tylko patrzeć.

To było złe.

To było niebezpieczne.

To było coś, na co zasłużyła za bycie niegrzeczną. Ogarnęło ją niejasne poczucie grozy, spowiła ją metaliczno-szara chmura zwiastująca nieszczęście.

Jej ręce trzymały zmechaconą wypchaną czarno-białą pandę. Ale ulubiona zabawka nie była taka, jaką ją zapamiętała. Korpus rzeczywiście należał do pandy, lecz brakowało mu rąk, nóg i głowy.

Opętane ręce sięgnęły w dół i wyciągnęły oderwaną pomarańczowo-czarną łapę wypchanego tygrysa, z białymi kłaczkami wylewającymi się na zewnątrz. Ręce Liu Jian Dan zaczęły szyc. Igła śmigła raz za razem. Łapa tygrysa została połączona z korpusem.

Jian poczuła ukłucie bólu.

Spojrzała na swoją opętaną rękę. Strumyczek krwi spływał z krótkiego, pulchnego palca. Kropelki zebrały się między palcami

i pociekły na korpus pandy, zostawiając płamę na białym futerku.

Strach pokrył skórę Jian gęsią skórą jak milionem ukąszeń zostawionych przez milion żarłocznych bakterii. Jej drobne ciało zadrżało.

Ręka znów sięgnęła w dół. Tym razem wydobyła długą, dyndającą, popielatobiałą nogę szmacianej małpki.

Błysnęła igła. Kolejnych parę ściągów. Opętane ręce przytwierdziły nogę do korpusu pandy, teraz czarno-białego ze smugami czerwieni.

— *Shou, ting xia lai* — zdołała w końcu powiedzieć. Przestańcie, ręce. Ale one ją zignorowały.

Dlaczego odezwała się po mandaryńsku? Tak rzadko go teraz używała. Ale nie, to było normalne, bo miała pięć lat i nie знаła innego języka.

Płowa łapa lwa.

Większy ból.

Więcej krwi.

Różowa rączka plastikowej laleczki.

Coraz większy ból.

Coraz więcej krwi.

— *Shou, ting xia lai* — powiedziała z oczami wypełnionymi łzami. — *Qing ting xia lai*.

Przestańcie, ręce. Proszę, przestańcie.

Ręce nie posłuchały. Znów sięgnęły w dół, ale tym razem nie znalazły sztucznego futra ani plastiku. Tym razem wyciągnęły coś zimnego i twardego.

Odciętą małą głowę. Przethuszczoną sierść zlepiła mokra krew. Pysk był szeroko otwarty, czarne oczy naznaczone piętnem śmierci. Nic takiego nigdy nie istniało ani nie będzie istnieć. Chyba że ktoś to stworzy.

Jian zaczęła łkać.

Ręce nadal szyły.



Wideofon rozdarł ciszę natarczywym, przeraźliwym dzwonkiem i wyrwał go ze snu. P.J. Colding zmrużonymi oczami zerknął na czerwone cyferki budzika na podstawce telefonu: szósta czternaście

rano. Godzina była nieludzka, ale co gorsza, zegarek pokazywał też datę.

Siódmy listopada.

Cholera. Miał nadzieję przespać ten dzień. Niechętnie wyciągnął rękę i nacisnął guzik połączenia.

Na płaskim ekranie pokazała się zmęczona, melancholijna twarz Gunthera Jonesa. Jego nabrzmiałe wargi i nieprzytomny wzrok zawsze sugerowały, że jest naćpany.

— Znów to robi — powiedział Gunther. Jego zaspany głos świadczył, że jest tylko odrobinę przytomniejszy od Coldinga. — Ma pięćdziesiąt dwa lata i nadal dręczą ją złe sny jak małe dziecko.

— Nic na to nie może poradzić, Gun. Zostaw biedaczkę w spokoju. Daj mi podgląd do jej pokoju, może tym razem nie jest tak źle.

Gunther spojrzał w dół, szukając przycisku pod ekranem. Zwykle pracował na nocnej zmianie. W pokoju monitoringu obserwował obraz z dwóch tuzinów kamer, które przeczesywały teren wokół ośrodka Genady na Ziemi Baffina, ogromny hangar dla krów i pojazdów oraz korytarze i laboratoria w głównym budynku. Osiem pomieszczeń mieszkalnych w tym ostatnim też miało kamery, ale na polecenie Coldinga zostały wyłączone. Wyjątek stanowił pokój Jian — w nim kamery działały dzień i noc. Gunther większość czasu poświęcał na pisanie zwariowanych romansów o wampirach, niemniej miał Jian na oku. W gruncie rzeczy jego głównym zadaniem w trakcie dyżuru było dopilnowanie, żeby znów nie próbowała popełnić samobójstwa.

Z wideofonu zniknęła twarz Gunthera i pokazał się czarno-biały obraz z kamery u sufitu: otyła kobieta rzucała się i kręciła na łóżku, gęste czarne włosy niemal zasłaniały jej twarz. Colding dojrzał jednak, że porusza ustami i wykrzywia się w grymasie strachu.

Nici z dalszego snu.

— Dobra, Gun. Pójdę zobaczyć, co z nią.

Rozłączył się i ekran zgasł. Wyślizgnął się z łóżka i stanął bosymi stopami na lodowatej podłodze. Choćby nie wiem jak wysoko ustawić temperaturę, podłoga zawsze była lodowato zimna. Wsunął podniszczone klapki, włożył szlafrok i wpiął w

ucho słuchawkę. Włączył ją stuknięciem palca.

— Gunther, próba mikrofonu.

— Słyszać dobrze, szefie.

— W porządku, już idę. Daj znać, gdyby coś się działo, zanim dojdę.

Zostawił berettę w szufladzie stolika nocnego. Nie było potrzeby brać pistoletu. Ruszył w kierunku pokoju Jian.



Jej zakrwawione palce zabarwiły czarno-białą pandę na czarno-czerwona. A właściwie korpus pandy z łapą tygrysa, nogą szmacianej małpki, łapą lwa, plastikową ręką laleczki i czarnym łbem z pyskiem pełnym ostrych zębów. Jej opętane ręce trzymały dziwne stworzenie, sklecone z różnych kawałków, nieforemnego potwora doktora Frankensteina.

— Nie rób tego... — szepnęła Jian głosem małej dziewczynki.

— Proszę, nie rób tego znowu...

Mimo błagań wiedziała, jak przy powtórce filmu, co zaraz nastąpi. Zaczęła krzyczeć chwilę za wcześnie, jeszcze zanim czarne oczy zamrugały i spojrzały prosto na nią. Nie wyrażały nic prócz prymitywnego, wilczego głodu.

Coś nią potrząsnęło, raz i drugi. Zdeformowany pluszak otworzył paszczę i zdawał się uśmiechać. Uśmiechem diabła. Niedopasowane ramiona — różowa ręka plastikowej lalki i pasiasta pomarańczowo-czarna łapa tygrysa — wyciągnęły się ku niej i po nią.

Właśnie kiedy stwór miał ją pożreć, coś potrząsnęło nią jeszcze mocniej.



Colding łagodnie potrząsnął nią jeszcze raz. Obudziła się z grozą zastygłą na skonfundowanej twarzy. Pot i łzy przykleiły jej czarne, gładkie włosy do twarzy.

— Jian, już wszystko dobrze...

Opiekował się tą kobietą od dwóch lat, starał się pomóc jej zarówno z poczucia obowiązku, jak i przyjaźni, która się między nimi nawiązała. Jian miała lepsze i gorsze dni. Te złe on też

ciężko przeżywał, wyrzucał sobie niekompetencję i bezradność. Zawsze jednak się pocieszał, że ona wciąż żyje, a to już coś. Dwukrotnie próbowała popełnić samobójstwo i on sam do tego nie dopuścił.

Jian zamrugała, starając się dojrzeć coś spod płataniny włosów, po czym zamknęła go w żelaznym uścisku. Też ją uściśnął i poklepał lekko po plecach, odganiając jej lęki, jakby była jego córką, a nie kobietą o dwadzieścia lat starszą.

— Znów miałam ten straszny sen, panie Colding.

— Już wszystko dobrze — powtórzył. Czuł jej łyzy na szyi i ramieniu.

Jian zwracała się do każdego mężczyzny per pan. Nigdy nie zdołał jej namówić, żeby mówiła do niego po imieniu.

— Już w porządku. Może spróbowałabyś znowu zasnąć?

Oderwała się od niego i otarła łyzy wierzchem dłoni.

— Nie — powiedziała. — Nie chcę spać.

— Jian, daj spokój. Po prostu spróbuj. Wiem, że w ostatnich trzech dniach spałaś nie więcej niż sześć godzin.

— Nie.

— Nie możesz chociaż spróbować?

— Nie!

Odwrociła się i wyslizgnęła spod kołdry, zdumiewająco zwinnie jak na kobietę, która ważyła ponad sto dziesięć kilo przy wzroście metr sześćdziesiąt siedem. Za późno zdał sobie sprawę, że Jian nie ma na sobie dołu od piżamy, i zmieszany odwrócił wzrok, ale ona nie zwróciła na to uwagi.

— Skoro już wstałam, to wezmę się do roboty — oświadczyła.

— Dziś rano robimy kolejny test odpowiedzi immunologicznej.

Colding potarł oczy, częściowo po to, aby nie sprawiać wrażenia, że stara się nie patrzeć. Wbił wzrok w znajomą szachownicę na jej toalecie. Pobiła go dziewięćdziesiąt siedem razy z rzędu, ale co z tego?

Obok szachownicy stała butelka z lekarstwem. Wyraźna miarka na butelce wskazywała odmierzaną ilość płynu, od wypisanej starannie daty 1 list. na samej górze do 30 list. blisko dna. Poziom płynu stał na 7 list.

— Owszem, biorę lekarstwo — pospieszyła go zapewnić. —

Mogę być szalona, ale nie jestem głupia.

Ale czy na pewno mówiła prawdę? Jej stan się pogarszał, koszmary stawały się coraz częstsze i groźniejsze.

— Nie mów tak o sobie, Jian. Moim zdaniem nie jesteś szalona.

— Pana zdaniem nie jest pan przystojny — odparła. — Co dowodzi omyślności pańskich sądów.

Zgrzyt zamka błyskawicznego od spodni powiedział mu, że może już podnieść wzrok. Jian wkładała hawajską koszulę — jasnozieloną z żółtymi azaliami — na przepocony biały podkoszulek. Ciężkie, wilgotne włosy nadal zasłaniały jej twarz, ale widział poprzez nie ciemne sińce pod przekrwionymi, udreżzonymi oczami.

Podeszła do swojego dziwnego stanowiska komputerowego, usiadła i włączyła aparaturę. Siedem płaskich monitorów rozbłysło i skąpało ją w sinej poświacie. Siedziała otoczona półkolem ekranów. Trzy stały na wysokości biurka — jeden na wprost, dwa boczne pod kątem. Powyżej wisiał lekko pochylony półokrągły rząd czterech innych monitorów, więc żeby zobaczyć wszystkie, musiała kręcić głową.

Colding odstawił butelkę z lekarstwem i podeszedł do stanowiska komputerowego. Na wszystkich siedmiu ekranach przelatywały ciągi liter A, G, T i C. Czasami litery jako takie były w różnych kolorach, czasami jaskrawy odcień podkreślał całe ciągi, czasami jedno i drugie. W oczach Coldinga przypominało to wielobarwne cyfrowe rzygowiny.

Odpowiedź immunologiczna stanowiła barierę, której trójca genialnych naukowców Genady — Claus Rhumkorrf, Erika Hoel i Jian — po prostu nie mogła pokonać. W teorii była to ostatnia przeszkoda na drodze do uratowania co roku życia setkom tysięcy ludzi. Teraz, kiedy Jian już nie spała, zaczęła się przygotowywać do testu albo — co bardziej prawdopodobne — do kolejnej porażki i nieuchronnej wściekłości doktora Clausa Rhumkorffa.

— Potrzebujesz czegoś? — spytał Colding.

Potrząsnęła przecząco głową, jej uwaga była już skupiona na jednym z dużych monitorów. Colding wiedział z doświadczenia, że zapewne nie dotrze już do niej ani jedno jego słowo. Nie odrywając wzroku od przewijających się liter, Jian otworzyła

małą sypialnianą lodówkę, którą miała pod biurkiem, i wyciągnęła butelkę ulubionego napoju Dr Pepper. Ręka zatrzęsała jej się lekko, kiedy ją otwierała i pociągała pierwszy długi łyk.

— Cóż, chyba wróćę do łóżka — powiedział Colding. — Daj znać, gdybym był potrzebny, okay?

Mruknęła coś pod nosem, ale nie wiedziała, czy w reakcji na jego słowa, czy na fragment danych.

Już wychodził z pokoju, kiedy go zatrzymała.

— Panie Colding?

Odwrócił się. Jian wskazała na jeden z ekranów.

— Widzę, że dziś siódmy listopada — powiedziała. — Tak mi przykro. Szkoda, że jej nie znałam.

Natychmiast zebrały mu się w oczach łzy. Przełknął ślinę przez zaciśnięte gardło i zacisnął zęby, walcząc z bólem w piersi.

— Dziękuję — mruknął.

Kiwnęła głową i odwróciła się z powrotem do swoich monitorów. Colding wyszedł, zanim dostrzegła, że płacze.

Dokładnie trzy lata temu umarła Clarissa. Czasami wydawało mu się, że minęła zaledwie chwila, że całował ją jeszcze wczoraj. Kiedy indziej nie mógł sobie przypomnieć, jak wyglądała, zupełnie jakby nigdy jej nie znał. Jednak zawsze, w każdej minucie każdego dnia, ból po jej stracie ciążył mu jak kamień.

Udał, że kaszle, co dało mu pretekst do wytarcia oczu, gdyby Gunther obserwował na monitorze, jak idzie korytarzem. Skierował się do swojego pokoju. Ośrodek badawczy nieodmiennie przypominał mu budynek szkolny: ściany z pustaków w neutralnym szarym kolorze, nakrapiane kafelki na podłodze, na każdym korytarzu gaśnice przeciwpożarowe do pary z toporkami strażackimi. Były nawet niewielkie uchwyty z napisem **POCIĄGNAĆ TUTAJ** umieszczone na wysokości ramienia, chociaż te akurat nie służyły do uruchomienia alarmu przeciwpożarowego — miały zamknąć szczelnie śluzy w razie skażenia wirusowego.

Wszedł do pokoju i zamknął drzwi.

— Wszystko gra, Gun — rzucił krótko.

— Podobał mi się ten kawałek, kiedy powiedziała, że nie jest głupia — zarechotał Gunther. — Szczyt skromności.

— Mnie to mówisz?

— Wracaj do łóżka. Będę jej pilnował.

Colding kiwnął głową, chociaż był sam w pokoju. O spaniu mógł już zapomnieć. Nie dzisiaj. Poza tym Jian dręczyły coraz gorsze koszmary. W obu poprzednich przypadkach po kilku tygodniach kończyło się to halucynacjami, a w końcu próbą samobójczą. Ostatnim razem zamknęła się w łazience i odkręciła gaz. Jej asystent Tim Feely zorientował się, co się święci, i wezwał pomoc. Colding włamał się znacznie szybciej niż w przysłowiowej „ostatniej chwili”, ale to nieistotne, jak blisko była celu — ważny był schemat. Najpierw koszmary, potem halucynacje, w końcu próba samobójcza. Doktor Rhumkorrf już zmienił jej odpowiednio dawkę lekarstwa, jednak kto może wiedzieć, czy to zadziała.

Colding musiał o tym zameldować. Claus Rhumkorrf był geniuszem, Erika Hoel legendą, ale bez Liu Jian Dan cały projekt można było wyrzucić do kosza.